



CZYTELNIK  
SOPOT  
ul. Czerwonej Armii 101  
Wyższa Szkoła Handlowa  
Morskiego Biblioteka

# Wędrowiec

tygodnik

NUMER 40 (202)

KATOWICE, WROCLAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 23 PAŹDZIERNIKA 1949 ROKU

ROK V

## Na powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej

KAROL OKOŃSKI

# Wilhelm Pieck

No, jakże się teraz panu podobają pański uczeń? — zapytał ówczesnego ministra Rzeszy Heinricha Schultza. Siedzieliśmy obaj w jednej z sal niemieckiego Reichstagu a Wilhelm Pieck przechodził właśnie obok nas. Wyniosły, smukły, prawie elegancki. Minister spoglądał za nim z zamysłem.

O, ten chłopak. Ten chłopak jest doskonały. Zna się na niemieckim — odpowiedział mi wreszcie.

Pochwała uczonego wroga ma niemałą wartość. Wówczas zaś odgadła obu gruba ściana różnic ideologicznych, choć tyle lat przepracowali wspólnie przy jednym biurku. Było to około roku 1900, gdy młody czeladnik stolarski Wilhelm Pieck do stał się jako siła pomocnicza do biura kształcenia robotników, kierowanego przez znanego już wówczas szeroko w parti socjaldemokratycznej specja od spraw wychowawczych w ruchu robotniczym. Stało się otworem szerokie pole działania. Równocześnie otwarty się dlań możliwości dokształcania samego siebie w wielu interesujących go dziedzinach.

Akcja kształcenia robotniczego dawała wiele pobudek oświeceniowych ruchowi robotniczemu. Tu gromadziły się wszystkie umysły, które budowały ruch socjalistyczny. Tu spotykali się mężczyźni i kobiety, stojący na czele roboty partyjnej. Wymieniano sądy, urwały dyskusje. A młody Pieck siedział przy swoim biurku i przysuchiwał się uważnie. Uczył się od wszystkich wszystkiego.

I można się było czegoś nauczyć. Niemiecka partia socjaldemokratyczna była wówczas niewątpliwie najlepiej zorganizowanym tuotorem politycznym świata. Miliony członków, więcej niż sto dziesiątek, kilkadziesiąt tygodników, kilka miesięczników. Do tego setki ulotek. Już ta akcja propagandowa wymagała stałych zebrań najwyższych ludzi partii w salach biura kształcenia.

Do tego dodać trzeba by jeszcze szkołę partyjną. Siedział tu na ta-

weczce Wilhelm Pieck, choć był już sekretarzem kształcenia, i wysłuchiwał słów Schuppla, Bernsteina, Róży Luksemburg, Schmidta i innych wykładawców. Szkoła partyjna była wówczas w pewnym sensie uniwersalną szkołą wiedzy politycznej. Nie była jednak szkołą konsekwentnie marksistowską. Każdy pogląd miał swego reprezentanta w gronie wykładawców. Ewolucjoniści i rewolucjoniści, radykali i ugodowcy mieli tutaj prawo głosu. Wilhelm Pieck nie zagubił się jednak w tej różnorodności idei i programów.

Wówczas też poznałem młodego Piecka. Był już starszy odemnie o dwa lata. Jako 17-letni chłopak pisywałem małe novelki dla młodzieży robotniczej. Dobry stary towarzysz Karol Korn drukował moje opowiadania w swoim tygodniku i przyjął mnie do swego mieszkania. Było stąd blisko do mieszkania Piecka. Ponieważ zaś obaj pracowali w centrali kształceniowej partii, spotykali się więc często w mieszkaniu.

Wilhelm Pieck nie należał do typu polityków gorących jak np. Karol Liebknecht. Był zawsze i jest do dziś jeszcze umiarkowanym i rozsądnym. Już dla tego samego nie widywaliśmy go wówczas wśród znanych powszechnie mówców i agitatorów partii. Ten typ działalności reprezentowali inni, Zubeł i Adolf Hofman, i inni berlińscy wielcy partyjni. Od wielkich brał najpierw wiedzę i dopiero, gdy nauczył się już sporo, wystąpił publicznie.

Przypadek sprowadził mnie wówczas do mieszkania Karola Kautsky'ego w Friedenau koło Berlina. Tam spotykałem coraz częściej uznanego wodza partii Augusta Bebeła. I pamiętam, że gdy pewnego razu zaczęliśmy mówić o Piecku, stary Bebel oświadczył:

— To cichy chłopak i spokojny. Ale wyrośnie z niego wielki człowiek.

(Dokończenie na str. 2)

## Pokojowe Niemcy na mapie politycznej świata

W piśmie swym do prezydenta i premiera Niemieckiej Republiki Demokratycznej powiedział generalissimus Stalin m. in.: „W ten sposób, zakładając podwalny jednolitych, demokratycznych i miłujących pokój Niemiec, dokonujecie zarazem dla całej Europy wielkiego dzieła, zaznaczając jej trwałe pokój”.

Pojawienie się Niemiec pokojowych na mapie politycznej świata, powitane przez najwyższego dostojnika Związku Radzieckiego jako wydarzenie niezwykle i doniosłe, oznacza powstanie nowej sytuacji w Europie. Dla Polski oznacza ono wytworzenie się stosunków dobrosąsiedzkich, umożliwiających obopólne harmonijne współżycie i budzących najlepsze nadzieje na przyszłość. Uznanie przez prezydenta Piecka naszych granic na Odrze i Nysie oznacza zdecydowaną wolę pokoju. Prezydent Bierut jako przewodniczący KC Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej użył w piśmie swym do prezydenta Piecka i premiera Grotewohla jako przewodniczących SFD następujących słów: „Naród polski wita powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która na zawsze zerwała ze złą i haniebną tradycją „marszu na wschód” i która uważa granicę Odry i Nysy za granicę pokoju. Dobrosąsiedzkie stosunki polsko-niemieckie są niezbędnym wkładem w dzieło pokoju światowego. Są one jednym z czynników, o który rozbija się rachuby prowokatorów wojennych, rozrzucających rewizjonizm i szowinizm dla celów nowej agresji”.

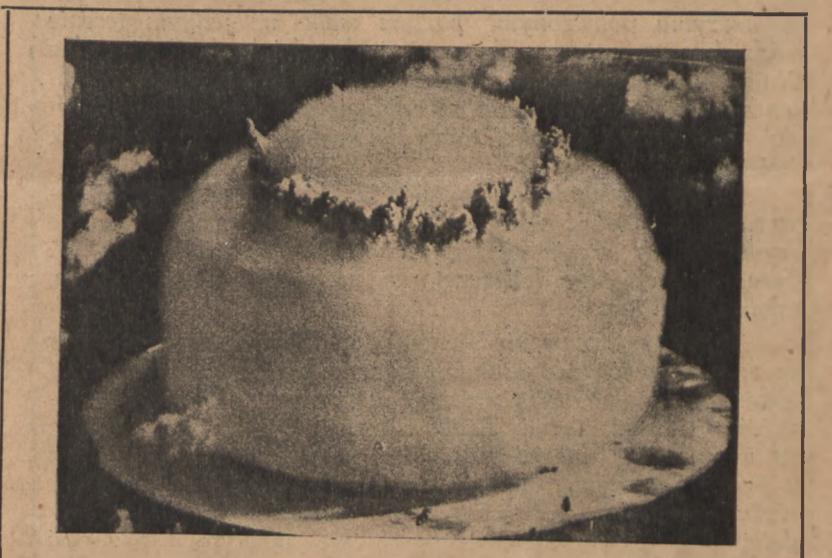
Sily drzące w ludźle niemieckim, wykorzystywane do tej pory przez podżegaczy wojennych, którzy w okresie międzywojennym rozpętały i uziębły reakcję niemiecką przeciwko ZSRR, jednoczą się oto pod kierownictwem wypróbowanych bojowników niemieckiej lewicy w walce o pokój. Przekreślając starogermanski „Drang nach Osten” sily te budują podwalny pod nowe, dobrosąsiedzkie współżycie z narodem polskim. Warto na tym miejscu zacytować ostatnią wypowiedź prezydenta Piecka na temat naszej zachodniej granicy: „G. nicea na Odrze i Nysie nie jest granicą wrogość szczytu, lecz jest granicą pokoju, jest granicą przyjaźni między narodem polskim a niemieckim”.

Prezydent Wilhelm Pieck jest postacią, która w r. 1919 cudem uniknęła śmierci. Lata 1918 — 19 są latami tłumienia przez reakcję niemiecką, wspomaganą przez burżuazyjne rządy Anglii i Francji, ruchu rewolucyjnego. Wilhelm Pieck miał zginąć razem z zamordowanymi w dniu 15 stycznia 1919 r. działaczami niemieckiej lewicy, Karolem Liebknechtem i Różą Luxemburg. Polecenie zamordowania wydał niejaki „hauptmann” Pabst. Stwierdził to później huzar Runge: „Miałem przeżyć rozkaz zabicia ich obaj (Karola Liebknechta i Róży Luxemburg) a redaktora „Czerwonego Sztandaru” — to był Wilhelm Pieck — miałem zastrzelić w hotelu „Eden”, co jednak już nie zostało wykonane...”. Objęcie władzy przez prezydenta Piecka posiada więc obok realnego znaczenia także znaczenie symboliczne.

„Niemcy uwolnione od Karola Liebknechta i Róży Luxemburg” — mówił się i pisało przed trzydziestu laty. Do czego w Niemczech stały się zdolne, dowiódł potem Oświećcim i Majdanek, dowiódł łapanki i egzekucje, za pomocą których wyhodowany przez Anglosasów hitlerizm ugruwał swą władzę.

W nowoutworzonej Niemieckiej Republice Demokratycznej odradza się wszystkie te zdrowe tendencje, które musiałby ustąpić przed naporem wrogich prądów ułomności i umiłowaniu pokoju sil. Ukoronowaniem rozwoju tych sił stał się późniejszy hitlerizm.

Nowa Niemiecka Republika Demokratyczna, na której czele stanął nieugięty Wilhelm Pieck, budzi pełne zaufanie zarówno w Polsce i Związku Radzieckim jak i w całym postępowym świecie. Słowa najwyższego zwierzchnika Związku Radzieckiego, generalissimusa Stalina, stwierdzające, że „utworzenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej jest zwrotnym punktem w dziejach Europy”, wycieczają nowy program polityczny, weigający postępowe sily niemieckie, zorganizowane i urealnione w nowoutworzonej Niemieckiej Republice Demokratycznej, do walki o nowy ład społeczny i sprawiedliwy pokój na świecie. (w.)



To nie tort imieninowy ale wybuch bomby atomowej na szkuni. Dziś coraz liczniejsze są szeregi bojowników o pokój, którzy uwalniają świat nie tylko od strachu przed bombą atomową, ale walczą także skutecznie z podżegaczami do nowej wojny

## Z kroniki ruchu pokojowego

Gdy przypominamy sobie owe sześć wielkich światowych kongresów w obronie pokoju, które, poczynając od sierpnia ubiegłego roku, odbyły się kolejno we Wrocławiu, Nowym Jorku, Paryżu, Pradze, Moskwie i Meksyku-City, widzimy, że różnią się one zasadniczo od wielu innych manifestacji na rzecz pokoju i od konferencji pokojowych polityków, rządów, partii, ministrów i międzynarodówek, jakie odbyły się przed i po pierwszej wojnie światowej. Tym razem w obradach udział biorą miliony ludzi, które przez swoich reprezentantów akcentują wolę walki o pokój a nie tylko pragnienie trwania przy pokoju. Masy porzuciły defensywę, stały się aktywne i dlatego charakter kongresów pokojowych po II wojnie światowej jest tak świeży, młodzieńczy, optymistyczny. Sceptycy zwłaszcza zwrócili uwagę na ten odmienny charakter owych sześciu powojennych kongresów pokoju, sceptykom, którzy dowodzą, że wojnom nie zdołają przeszkodzić ani konferencje pokojowe sprzed tamtej wojny w Hadze, ani kongres drugiej międzynarodówki w roku 1912 w Bazylej ani Liga Narodów ani pakti lokarneckie i Kelloga wreszcie. I jeszcze dodać trzeba, że w porównaniu z tamtym dawnym okresem nieśmiały lub obłudny wojny o pokój, wzrost ogromnie moralny i materialny ciężar gatunkowy Związku Radzieckiego, który w ruchu pokojowym, odgrywa rolę najwybitniejszą.

W ten sposób stwierdzono również, że: po pierwsze: kongres wrocławski nie jest ruchem „komunistycznym”, jak go nazwali wrogowie ruchu pokojowego, z pewnością z chęcią dyskredytacji i zbagatelizowania kongresu, ale jest wezwaniem pod adresem całego świata, przypomnieniem wspólnego obowiązku przeciwstawienia się wojnie.

po drugie: w ruchu tym olbrzymią rolę odgrywają intelektualności.

500 delegatów reprezentujących 53 narody zgromadziło się wówczas we Wrocławiu a było wśród nich tylu wybitnych pisarzy, malarzy, kompozytorów, myślicieli i uczonych, służących różnym ideologiom, że praktyka wrocławska w pełni potwierdziła olbrzymią rozpiętość idei pokoju. Praktyka wrocławska potwierdziła również, że przy daleko idących różnicach w dyskusji możliwym jest stworzenie wspólnej bazy dla ruchu pokojowego.

### Zorganizowana dywersja

Wrocław był na początku. W marcu roku bieżącego dzieło rozpoczęło swój dalszy żywot. W atmosferze międzynarodowej, przesyconej widokami nowej wojny, w okresie pełnym nerwowego napięcia — odbył się drugi kongres intelektualistów w neutralnym punkcie polityki światowej, w Nowym Jorku. W kraju o odmiennie politycznej i gospodarczej strukturze udowodniono tym razem, że przyjaciele pokoju nie dzielą się na Wschód i Zachód, na przynależnych do poszczególnych szefów wpływów tego lub innego mocarstwa. Największa sala Nowego Jorku, Carnegie Hall, pomieścić nie mogła wszystkich wojowników o pokój, którzy zebrał się tu znowu w imponującej liczbie. Specjalnymi piśmami pozdrowili Kongres i życzyli mu pomyślnych obrad Tomasz Mann, B. G. Shaw i Priestley. Oczywiście, że tym razem — doceniając znaczenie kongresu — przeszedł do ataku również i obóz podżegaczy wojennych. Objawiało się to zaś nie tylko w formie odmawiania wiz. Oboiem w przeddzień kongresu nowojorskiego, State Department wydał oszczerczą białą księgę przeciwko Związkowi Radzieckiemu a organizacja,

### Podstawa współpracy

Światowy kongres Intelektualistów w obronie pokoju we Wrocławiu z sierpnia ubiegłego roku, był pierwszym wspólnym sygnałem ruchu, stanowił podstawę dalszej coraz żywej współpracy, nadał ton dalszemu rozwojowi sprawy, związał po raz pierwszy ludzi myślących jednakowo, komunistów i duchownych wszystkich wyznań, uczonych i polityków, poetów, i działaczy kulturalnych. W zaproszeniach na ów kongres, dziś już mający swe wspaniałe miejsce w historii ruchu pokojowego, określono cel kongresu jako konieczność „stworzenia podstawy, na której twórcy kultury całego świata, niezależnie od charakteru gospodarczego i społecznego systemu, w którym żyją i działają, mogli by współpracować

(Dokończenie na str. 4)



Potworny grzyb po wybuchu bomby atomowej — oto znak podżegaczy do nowej wojny. Naszym zaś znakiem, znakiem zwolenników i bojowników o pokój — jest gołąbek



Pod znakiem odbudowy życia niemieckiego w znaku demokracji — powołana została do życia Niemiecka Republika Demokratyczna. W następnym numerze zamieścimy fragmenty z prac i przemówień premiera nowego demokratycznego rządu niemieckiego, przywódcy SED (Socjalistycznej Partii Jedności), Ottona Grotewohla.

W związku z nowymi wydarzeniami w niemieckim życiu politycznym warto przypomnieć słowa Wilhelma von Humboldta, uczonego i polityka pruskiego z końca XVIII i początku XIX wieku. Oto one:

„Problem niemiecki, t. j. rozstrzygnięcie w sprawach przyszłej formy państwa niemieckiego i jego stanowiska w Europie, wciąż jeszcze czeka na swe rozwiązanie. I choćby problem ten w pierwszym zarysie był sprawą wewnętrznio-niemiecką, ogromne jego znaczenie rozciąga się nie tylko na Europę ale na cały świat. Jeżeli bowiem nie znajdziemy zadowalającego rozwiązania dla przyszłego wyglądu Niemiec, trwać będzie w sercu Europy stałe ognisko niepokojów a o pokoju nie będzie można mówić, że został zapewniony i zabezpieczony.”

GERHARD EISLER

## AMERYKA

W Stanach Zjednoczonych Amerykanie żyją w atmosferze krańcowego napięcia i grozy, podlegają stałemu i starannemu śledzeniu. Rozmowa telefoniczna, przekreślona przez agenta biura podsluchów, którego działalność przybrała w Ameryce powszechny charakter, nieścisłe interpretowana uwaga lub ustęp w liście czy artykule, który by wzbudził podejrzenie władz, zwyczajny donos przekupionego niegodziwca (a we współczesnej Ameryce taki typ jest „bohaterem dnia”) — wszystko to może doprowadzić do katastrofy całego życia. Do katastrofy niechybnej doprowadza także czytanie „podejranych” książek albo chodzenie do kin, wyświetlających sowieckie filmy. Cóż czeka skromnego Amerykanina, który niepotrzebnie zdradzi się ze swoją lekką sympatią dla idei, idących przeciwko ofekjalnemu reakcyjnemu nastawieniu?

Bedzie poddany dokładnemu badaniu nie tylko on sam, ale i jego krewni, jego przyjaciele, przyjaciele jego przyjaciół, krewni jego krewnych. I w obecnym i poprzednich miejscach zamieszkania będą badać gospodynie, u której mieszkał, sprzedawców, u których kupował gazety, warzywa, mięso, fryzjera, u którego się golił. — Jednym słowem tych wszystkich, którzy tak czy inaczej mogli z nim obcować. Nieszczęsny tonie w tajemniczych dokumentach, pełnych zapewnień, oświadczeń, donosów, nieprawdopodobnych głupstw i niekzemności. Trzymany jest w zupełnej nieświadomości co do rodzaju opinii o nim. Wie tylko, że moc dokumentów zebrano przeciw niemu, dokumentów, w których odbijają się kłamstwa, przesady, i hipokryzja. Amerykanie dopiero niedawno dowiedzieli się ku swemu wielkiemu przerażeniu, że Federalne biuro dochodzeń jest w Waszyngtonie właścicielem sześciopiętrowego gmachu, nabitego po sam dach sześciu dziesiątkami milionami tego rodzaju dokumentów, dotyczących obywateli kraju!

Jeśli zdarzy się „przypadek”, zmontowany przez „dobrych przyjaciół”, natychmiast pojawia się w prasie dane, dotyczące, rzecz oczywista imienia i nazwiska, miejsca zamieszkania i najbardziej intymnych stron życia Amerykanina. Gazety nie zastanawiają się nad tym, co jest prawdą, a co kłamstwem, i szybko sporządzą, w zależności od okoliczności, bardziej lub mniej sensacyjne ogłoszenie w postaci artykułu, opublikowanego pod nagłówkiem, wydrukowanym wielkimi literami, albo też w postaci małej wzmianki, pełnej brudnych insynuacji. I oto w ten sposób biednego Amerykanina stawiają pod hańblącym słupem.

Do funkcji Federalnego biura dochodzeń należy określenie tego, co jest „lojalne”, a co „niełojalne”, co jest „amerykańskie”, a co „antyamerykańskie”.

Biuro to kieruje się w swojej pracy nie tylko własnymi reakcyjnymi poglądami i sobie właściwą tepotą, lecz współzawodniczy w dziedzinie prześladowań z ministerstwem sprawiedliwości i z „komisją dla badań antyamerykańskiej działalności”, będącą gniazdem czarnej reakcji. Te trzy organizacje: Federalne biuro dochodzeń, ministerstwo sprawiedliwości i wyżej wymieniona komisja, nie tylko pracują wspólnie, ale i przystosowują się do istnienia wśród oszustów prawa wolnej konkurencji; inaczej mówiąc, starają się one ujawnić jak najwięcej „niełojalnych Amerykanów”, jak najczęściej przesłuchiwać ludzi jeszcze wolnych od tego plęta niełojalności, jak najgorliwiej pracować nad stworzeniem wszelkiego rodzaju „sensacji”. Z rozporządzenia prezydenta około dwóch i pół miliona urzędników państwowych już było poddanych temu specjalnemu badaniu w danych instytucjach.

W ten sposób reakcyjniści i podżegacze wojenni systematycznie prowadzą walkę o zniszczenie podstawowych praw demokratycznych, zastrzeżonych w konstytucji. Gorączkowo dążą do przeobrażenia Stanów Zjednoczonych w państwo policyjne według wzoru faszystowskiego.



Gerhard Eisler, kierujący sprawami propagandy w rządzie Dem. Rep. Niem., prowadzony przez Wilhelma Piecka (z lewej)

Ta wyznaczona reakcyjna kampania terroru osiągnęła swój kulminacyjny punkt w organizacji sądu nad dwunastoma kierownikami komunistycznej partii Ameryki.

Organizując prowokacyjny proces przeciwko kierownikom komunistycznej partii Ameryki, reakcja amerykańska dąży do okrutnego stłumienia nie tylko jakiegokolwiek krytyki, skierowanej przeciwko istniejącym obecnie porządkom, ale i najmniejszego sprzeciwu wobec dyktatury wielkiego kapitału.

Magnaci Wall-Street'u próbują postawić poza prawem komunistyczną partię Ameryki, aby tą drogą nastaszyć i sterroryzować wszystkich przeciwników ich polityki, wszelkie przejawy niezadowolonia. Stara to faszystowska metoda. Naprzód zakaz należenia do partii komunistycznej, a następnie stłumienie wszelkich postępowych i demokratycznych ruchów, skierowanych przeciwko następcwemu kryzysowi ekonomicznemu, przeciwko wysiłkowi zbrojeń, przeciwko ograniczeniu praw obywatelskich i przeciw podżegaczom wojennym. Taką to „receptę” dawał faszizm w Europie, taką też „receptę” proponuje reakcja i faszizm w Stanach Zjednoczonych.



# Perspektywa Odry

Trudno zapomnieć scenę rewolucji wiedeńskiej (epizod opisany we wspaniałej powieści o Wiosnie Ludów Lőrincza Kovácsa p. t. „Janiec zagwi”), gdy wśród tłumu zjawia się węgierski bohater tego okresu walk wolnościowych, Lajos Kossuth i witany okrzykami „Wolny Wiedeń wita wolne Węgry”, biorąc na ręce maleńkie dziecko z rąk jakieś matki, wśród całkowitej ciszy rzuca w tłum, dziwięcym, mocnym głosem następujące słowa:

„Spójrzcie na tego przyszłego obywatela Austrii. Walczy on o wolność dla naszych dzieci! Spójrzcie na to chłopię! Gdy on dorosnie, wolność stanie się wspólnym dobrem całej ludzkości. Przyszłość do niego należy! Niech żyje przyszłość... Wolność narodów jest niepodzielną całością!” (Podkreślenie moje).

Wprawdzie dziś po stu latach wolność nie stała się jeszcze wspólnym dobrem całej ludzkości, ale tym bardziej odczuwamy słuszność twierdzenia, że „Wolność jest niepodzielną całością”. Odczuwamy to szczególnie wtedy, gdy myślimy n. p. o tym, co się dzieje w Chinach. Dzisiaj już tylko bardzo mało świadomych człowieka może nie dostrzegać współzależności wszystkich walk o wolność na świecie. Jak w naczyniu połączonym, poziom walk na jednym terenie oddziaływał na stan walki na innych odcinkach. Jeśli walka Nowych Chin jest walką o nowy świat, to wszystkie jej powołania i niepowodzenia są odpowiednio odczuwane wszędzie tam, gdzie również toczy się walka o nowy porządek świata.

Ala, by zrozumieć o co właściwie w Chinach idzie, pozwólmy przemówić samym Chinom. Do naucego świadka wydarzeń na arenie chińskiej w latach 1939—45 Dr W. Freudmana chińskie dziewczęta w ten sposób mówią o walce, jaka się tam toczy:

„Jesteśmy przeważnie studentkami. Nasze strony ojczyzny są w rękach Japończyków... Japończycy zabili moją matkę... Japończycy zabili moją siostrę... Japończycy zabili moich rodziców... Zabili. Zabili. Zabili... Jest mi tak ciężko i myślę, że nie zobaczę więcej mej matki. Opuściłam dom i wraz z przyjaciółkami zgłosiłyśmy się ochotniczo do pracy. Ojciec nie chciał się zgodzić. Miałśmy wówczas tyle wielkich nadziei dla Chin. Rozumiecie, że nie mogliśmy pozostać w domu. Chcieliśmy jak żołnierze walczyć za Ojczyznę. Nie chcieliśmy być gorsze od mężczyzn. Chcieliśmy czegoś więcej. Chcieliśmy porwać mężczyzn do świętej walki o odrodzenie Chin. Dla nas kobiet wyzwolenie Chin ma podwójny sens. Lud jest skowany, szczególnie jednak kobieta, która pędziła tu dotychczas nędzną żywot niewolnicy. Byłyśmy pozbawione czaru miłości, radości życia. Zdobycie prawa do miłości i wyboru męża przez kobietę chińską sprowadzi na kraj nie tylko radość życia i rozkwit. Postawę rozwoju psychiki nowego chińskiego człowieka podyktuje teraz młodzież. Nie pozwolimy sobie wydrzeć najmniejszego przeżycia naszego życia. Wiemy wreszcie, co to jest szczęście i nie pozwolimy sobie odebrać prawa do niego...”

Kto jest przeciwno temu krzyknio dziewcząt chińskich o ludzkie prawo do szczęścia?

A teraz posłuchajmy innego krzyku Chin. Również wołającego o zwalenie wiekowej, jak poprzednia, plag. Przejniemy go również do naucego świadka burzy chińskiej Dr Jensena z jego książki „Chiny zwyciężą”:

„Nowe Chiny dają chłopom coś więcej niż ziemię. Dają chłopom nowy język, przepełniony całym tragizmem minionego życia i pełną napięcia dramatycznością nowego. 12 grudnia 1946 roku mieszkaniec wsi Tung Czwan w północno-chińskiej prowincji Szantung na jednym z zebrani zwołanych z „Akcją oskarżeń i obrachunków” wystąpił przeciw swym ciemiężcom. Ubogi chłop, Czang Hsiang, który prawdopodobnie pierwszy raz w życiu stał na mównicy, wskazał ręką na obszarńnika Kuo Lien Kwei, do niedawna pana dwunastu wsi.

W naszej wsi — rzekł Czang Hsiang — ubogi chłop ma nie więcej niż pół Mu (650 metrów kwadratowych ziemi). Gleba piaszczysta i jałowa. 437 rodzin chłopskich wiodło tu do tego stopnia piskie życie, że już zepsucie tacki sprawdzalo głód. Każde ziarno zboża, które wy właściciele ziemi zabieraliście nam ponad wymiar, określony daunymi prawami — oznaczalo głód. Czyż was sześciu obszarńników nie miało więcej ziemi niż nas 437 dzierżawców razem wziętych? Czy ty Kuo Lien Kwei nie powiedziałeś mi: 42 000 dolarów (chińskich — ES.) a nie będziesz musiał płacić przez cały rok żadnych innych danin, będąc cię ponadto bronil przed zaciąganiem do wojska.

Sprzedalem co tylko miałem i dałem ci 2000 dolarów. Czy nie musiałem potem wędrować na południe, żeby przywieźć do domu trochę suszonych słodkich kartofli, ponieważ nasze zboże nie oprodziło, a przecież moja rodzina chciała jeść. A co się stało, gdy powróciłem do domu? Czy nie stanęła przede mną w dziesięć dni po moim powrocie groźca, że mnie zaciągają natchmiast do wojska, jeśli ci nie zapłacę drugie tyle? Nikogo nie było, do kogo mógłbym zwrócić się z zażaleniem, bo ty byłeś najwyższym urzędnikiem na wsi. Czy przypominasz sobie, jak lamentowała moja rodzina, gdy kazaleś wynieść resztę zboża z naszego spichrzu?

Po ziemie, którą przebiegdowaliśmy o słodkich kartoflach, zjawileś się znowu w maju, gdy przeprowadziłem zbiór pszenicy i nie pomny 2000 dolarów, które ci przecież dałem, zażadałeś czwartej części zbioru. Wkrótce potem zjawileś się znowu, tym razem z żołnierzami, aby mnie przymusowo uciąć do batalionu. Wówczas — krzyknął Czang do zebranych — ukląknem przed nim, błęmem pokłony i błagam, aby mnie nie zabierał, dopóki nie zakończy siewu. Ale on odmówił mi prosbie.

Kłękni ty teraz — zawołał zwracając się do obszarńnika — tak jak ja kiedyś przed tobą kłęzałem i bij pokłony przed całym zgromadzeniem, tak jak ja niedys przed tobą. Czy to co powiedziałem nie jest prawdą w najdrobniejszych szczegółach?

Obszarńnik Kuo skłonił głową. Był to wysoki drab, stojący przed zgromadzeniem naprzeciw chłopu Czana z oczami wbitymi w ziemię.

Obszarńnik jak Kuo reprezentuje Czang Kai Szek, porządków feudalnych broni Kuomintang. A praw biednego Czana broni Mao Tse Tung i Partia Komunistyczna Chin.

Dlatego nie zdziwi nas już tak bardzo opinia trzeciego naucego świadka dramatu chińskiego, amerykańskiego generała, pierwszego głównodowodzącego armią amerykańską na Dalekim Wschodzie w ostatniej wojnie Stiewella, który w swoich pamiętnikach taki sąd wydaje o obu obozach chińskiej wojny domowej:

„Osądzam Kuomintang i Partię Komunistyczną na podstawie tego, co u nich widziałem.

Kuomintang to przekupstwo, niesumienność, chaos, ucisk feudalny, rozbieżność między słowem a czynem.

Program komunistyczny to obniżka podatków, czynszów dzierżawnych, oprocentowania długów, wynikających z dzierżawy, podwyższenie produkcji, poprawa bytu ludu, udział narodu w interesach państwa i realizowanie w praktyce głoszonych hasel.”

Nie dziwi nas również, że general ten został wkrótce za przyczyną Czanga usunięty ze swego stanowiska jeszcze przez Roose elta i że wsiadając do samolotu Stiewell nie przyjął orderu, przyslanego mu na póżegnania przez Czang Kai Szeka. Bo każdy człowiek, także Amerykanin, ma tutaj tylko jeden wybór: żyćcyz proklamowanej przez Mao Tse Junga na konferencji konsultatywnej Chiu Ludowych Chińskiej Republice Ludowej spełnienia nadziei, jakie budzi w szerokiach rzeszach ludu chińskiego.

WILLIAM GROPPER

# S Z E F

W niektórych miastach Polski odbyła się ostatnio wystawa prac postępowego artysty amerykańskiego, karykaturzysty Williama Groppera. Otwarcie wystawy w Katowicach nastąpiło w dniu międzynarodowego święta pokoju. Poniżej drukujemy wspomnienie Groppera, zilustrowane dwoma rysunkami autora.

Przed paroma miesiącami spotkałem we Wrocławiu człowieka, który wydawał mi się bardzo znajomy. Mówił tylko po polsku. Przy stole z nami siedziała trzecia osoba, która tłumaczyła naszą rozmowę. Rzecz zaiste dziwna, ale im więcej człowiek mówił, tym pewniejszy byłam że znam go z Nowego Jorku. Ale w takim samym stopniu było to niemożliwe. Człowiek ten nigdy bowiem nie był za oceanem, zawsze żył tylko w Europie. W czasie wojny hitlerowskiej mieszkał w obozie koncentracyjnym i był skazany na śmierć, ale uciekł. Między innymi powiedział mi, że ma brata, którego bardzo ceni, który ma sporo pieniędzy i w Nowym Jorku zajmuje poważne stanowisko polityczne. Podobno brat ten obiecał mu postarać się o



amerykańską wizę i przesłać kartę okrętową do Nowego Jorku. Do brata pisze regularnie, ale od czasu napadu Hitlera na Polskę nie otrzymuje na swoje listy żadnej odpowiedzi. Wymienił również jego nazwisko, ale nie zapamiętałem go.

Od tej pory mam twarz tego człowieka stale przed oczyma. Na próżno starałem sobie przypomnieć, skąd go znam, dlaczego osoba ta jest mi tak znajoma. I gdy wspomniałem jego opowieść o bracie w Nowym Jorku, o bogatym człowieku na poważnym stanowisku politycznym, naraz przypomniałem sobie, skąd znam tę twarz. Tak, znalazłem jego brata, i to już w roku 1920 z czasów prohibicji, kiedy nie wolno było sprzedawać napojów alkoholowych. Wtedy w Stanach Zjednoczonych wspaniale prosperował czarny handel wódkami a politycy porobili ogromne majątki z łapówek. Brata jego nazywano szefem, bo był grubą rybą w stronnictwie demokratycznym jednej z zachodnich części Nowego Jorku.

Był żonaty, miał dwoje dzieci, wspaniałe wille, auto i kupę pieniędzy, grał na giełdzie i trzonił pieniądze tak lekko, jak je zarabiał. Romansował z pewną wdową, blondynką, która miała sklep z wyrobami tytoniowymi. Była nawet ładna i pochodziła z Poludnia, albo, jak u nas popularnie się mówi z Dixieland. W lokalu za sklepem zasiadł grał w karty i palił drogie papierosy. Wdowa miała wielu adoratorów, ale ulubieńcem jej był szef, dlatego, że — jak sama mówiła — był wielki, silny i nie przejmował się niczym. Lubila także pewnego agenta ubezpieczeniowego imieniem Henry. Nie był tak wspaniały jak szef, ale za to był to miły stary kawaler i pewny przyjaciel.

Gdyby wdowa regularnie co wieczór spędzała czas z żonatym mężczyzną, przyjeżdżo tużystwo nowojorskiego Westendu uważałoby to za skandal, ale ponieważ jej przywitankami była jej córka i ja, wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie chodziliśmy z nim wprawdzie co wieczór, ale dość często, bo odbył mi palenie cygar marki corona-corona, jednych z najdroższych. Po kolacji w drogim lokalu nocnym i po teatrze szedł szef z wdową do hotelu a nasza rola przywitanki się kończyła. Ilość wydawanych przy tej okazji pieniędzy była wzrost przerażająca.

Oto typowy przykład, jak spędzaliśmy niedzielę. Spotykaliśmy się na śniadaniu mniej więcej około godziny dziesiątej. Oczywiście śniadanie niedzielne musiało się odbywać w specjalnym lokalu. Szef zamawiał taksówkę i jechaliśmy do restauracji Pelham Heath, około dwadzieścia mil za miastem. Szofer taksówki na nas czekał, taksometr szedł. Byliśmy w lokalu jedynymi gośćmi, a szef zarządził, by dla nas stawiała się caca orkiestra i zaręła na cześć wdowej południową piosenkę „Dixie”. Po skonsumowaniu niesamowicie obfitego śniadania: pomarańczowego soku, indyjskich smażonych kartofli, masła, jajka na szynce, kawa i ciasta — usiadłszy do czekającej taksówki, i wróciliśmy do miasta, szef oczywiście z dymiącym cygarem corona-corona. Jechaliśmy na Broadway do któregośkolwiek teatruku na premierę. Taksówka znowu czekała, a myśmy zajmowali miejsca w najdroższej łodzi już poprzednio zamówionej przez szefa. Po dopłynięciu do marnowania czasu i zmechanizmu udaliśmy się znowu tą samą taksówką do Sheephead Bay, nadmorskiego uzdrowiska na Long Island, oddalonego od teatru jakieś 30 mil, szef jak zawsze z nieodzownym cygarem. Tam zalewaliśmy się kawą, whisky i oberali kawioriem, ostrugami, rakami i dalej piiliśmy koktajle i opychali się krabami, kompotami, słodyczkami i znowu lali w siebie czarną kawę i przemyknęłyśmy koziarkę. Orkiestra musiała grać „Dixie”, a ja musiałem palić cygara corona-corona.

Następnie szef zapłacił słony rachunek, dał suty napisek kelnerom i orkiestrze i dalej gwał nas na nowe sałatekta od jakiegoś baru z pieprznym programem. Byliśmy tak objedzeni i pijani, że trudno nam było zejść z miejsca w taksówce i zanim mogliśmy się zorientować w szybkości naszego środka lokomocji, już siedzieliśmy przy stoliku w barze. Sałatekta, „Dixie”, taniec, corona-corona — macie to wszystkie od rana do nocy, aż już zaczynałam wam to grać na nerwach. Nigdy nie mogłem zliczyć tej maszy pieniędzy, które szef przełutal w niedzielę, ale jestem pewien, że było tego grubo ponad tysiąc dolarów.

Życie takie było zupełnie zuyuczajne, jak długo trwała prohibicja i jak długo szef zarabiał na giełdzie, ale tak mi ono obrzydło, że lekłem się dni, w których byłem proszony do towarzyszenia szefowi.

Po jakimś czasie — sałatekta szefa z piękną wdową przestały być objętne dla jego żony i zaczęła się rozwodzi. Wywołała wielki skandal, wymogła dla siebie duże odszkodowanie i nie mniejsze alimenty.

Przyjeżdżał czas, kiedy prohibicja została zniesiona z życia politycznym szefa zastąpiła inna grubia ryba. Dochodził szef wprawdzie wybitnie zmalały, ale jego interesy giełdowe stale jeszcze pozowały na życie na szerokiej stopie. Kupił sobie wspaniałą limuzynę, którą ma wozit po nocnych lokalach, a corona-corona w jego ustach prawie nigdy nie gasta.

Pijanki, hulanki i inne sałatekta wcale się nie zmieniły — staleśmy dobrze jeili, stale nam towarzyszyła melodia „Dixie”, stale byłymi spowici dymem cygar corona-corona, a szef nie przestawał palić banknotami, które by mógł zapatrzyć cały szereg rodzin w jadło, czyz ubrania na ładnych parę lat.

Kiedy szef się rozwiodł, nie potrzebował już żadnej przywitanki, z czego bardzo się cieszyłem. Po jakimś czasie giełda na Wall Street zaczęła upadać. Widujący szef, jak jeździł swoim „Franklinem” po mieście. W parę miesięcy później dowiedziałem się, że szef na gwałt szuka pieniędzy, by chronić swoje akcje i inwestycje na Wall Street. Wdowa po



życzyła mu wszystkie swoje oszczędności i starała się sprzedać swój interes, by móc mu pomóc. Jeszcze później dowiedziałem się, że szef stracił wszystko, a wdowa swój interes. Sprzedał auto, a

dzięki wiernemu przyjacielowi Henry'emu otrzymał posadę agenta ubezpieczeniowego.

Pewnego dnia przyszedł do mnie i zaproponował mi, bym się u niego ubezpieczył. Zapłaciłem mu trzy dolary jako pierwszą premię od ubezpieczenia od ognia. Jakoś po czterestu dniach dostalem zawiadomienie od towarzystwa ubezpieczeniowego, że moja polisa nie jest ważna, ponieważ nie zapłaciłem premii. Było rzecz jasną, że szef musi znajdować się w nieszczęśliwej sytuacji finansowej, jeżeli opłacił mu się zdefraudować trzy dolary, które mu dałem na ubezpieczenie.

Po kilku latach przypadkowo spotkałem się z córką wdowy. Rozmawialiśmy o dawnych czasach, o tym, jak towarzyszyliśmy jej matce i szefowi. Od czasu, kiedy szef doprowadził do ruin jej matkę, nie widziałam się z nią. Matka pracuje jako ekspedientka w którymś z domów handlowych. Popołudnie miałem wolne i zaproponowałem mojej rozmówczyni, aby pójść do teatru Palace, na nowy wodewil.

Kiedyś doszli do rogu Broadway i Siedemdziesiątej ulicy, na której znajduje się teatr Palace, spostrzęliśmy grupkę ludzi, oczekujących przygarbionego mężczyzny z niedopalkiem cygara w ustach, który sprzedawał patent do naukowania igiel nawet z zamkniętymi oczyma. Kiedy przygarbiony się lepiej stojącemu mężczyźnie, że zdziwieniem poznaliśmy w nim szefa, człowieka, którego oboje znaliśmy jako bogatego i mocnego, na którego na tym samym rogu czekała całymi godzinami taksówka, podczas gdy on siedział w najdroższej łodzi teatru Palace. Teraz stał się biednym sprzedawcą ulicznym.

A potem zaczęły przychodzić wydarzenia światowe w zawiąrym tempie. Bezrobocie, wystąpienie Hitlera, faszyzm, wojna. Narody powstały przeciw sobie, ludzi się zabijalo, gnalo do obozów koncentracyjnych. Hordy nazistowskie gwałciły, rabowały, zabijały.

Potem wszystko się zmieniło. Na wszystkich frontach zaczęło się umacniać zwycięstwo demokracji, a Armia Czerwona między innymi oswojodziła i Polskę. W zaraniu jasniejszej przyszłości obywatela polscy zaczęli znowu budować swoje zniszczone miasta, dla nowego życia, dla nowej rzeczywistości.

A pewien człowiek we Wrocławiu śni. Śni o bracie, który jest bogaty, który ma w Ameryce po-



ważne stanowisko i który po niego przysła...

Jak mogłem mu powiedzieć, że szef, jego brat, znalezione zostały zmarznięty na nowojorskiej ulicy.

WILLIAM GROPPER

TADEUSZ GIGGIER

# Memento

Podcięto twą młodoc — pęd wysokoplenny — prochem podmianowana drga potać nadgrobną prosząc się o dżdżob iskra, którą dłoń podobna twej dłoni skrzesse — i świat wysadzi wojenny!

Jeszcze kędys się błaka twój krzyk, głos ostatni godny młodej gardzieli na wyłot przesyte — huzy glucho w oddali jakby dzwon rozbity, jak ponury dysonans wśród salwy armatniej.

Nocą, gdy w czarnych olchach strazy księżyc błady i dni poległych cienie wiły się po lesie — żal podnosi koszarne mgły na widokresie, a wiatr jak pies beapanski skomli na twych śladach.

Ala raneł wytryska już wrzawą dziecięca nowych dzieł, i życie powraca na zgliszczu — a wyorany w polu świeży, biały piszczel woła wielkie memento: „nigdy, nigdy więcej!”

# Wilhelm Pieck

(Dokończenie ze strony 1)

Być może, że kierunek rozwojowy partii byłby inny, gdyby nie nagła tuż przed pierwszą wojną światową śmierć Bebela. Za życia swego walczył on mocno z nastrojami prawicowymi i rewizjonizmem. Być może, że wykorzystalby swoje wpływy przeciwko Schmidтови i Scheidemannowi. Po jego śmierci partia zrobiła zwrot na prawo. Im dłużej zaś trwała wojna, tym ostrzejsze były różnice weewnątrz partii.

Wojna uwiągła nas od pierwszych dni w swój krwawy kolowrot. Pieckowi udało się uniknąć służby w armii wilhelmowskiej i do końca wojny ukrywał się, pracując nielegalnie w organizacji Spartakus. Potem, po klęsce, widzieliśmy go na stanowisku kierowniczym w berlińskiej USPD (niezależna socjaldemokratyczna partia robotnicza). Również i tutaj nie zatracił cech chłodnego, ostrożnego polityka, który scenę publiczną rezerwuje dla innych. Praktyczna robota poruszała go więcej.

12 października 1920 r. w Halle odbył się zjazd USPD. Pamiętny to był kongres, na którym nastąpiło rozwiązanie partii. Część jej członków przeszła do SPD, inni zawiązali partię komunistyczną Niemiec. Jest rzecz jasną, że Wilhelm Pieck był jednym z jej organizatorów i pierwszych sekretarzy, stając na jej czele w okręgu wielkiego Berlina.

Prześladowania mnożyły się odłgą. Całe miesiące musiał pracować w podziemiu, ukrywał się. Pewnego razu towarzysze partyjni musieli poruwać go z więzienia śledczego w Moabitcu. W hotelu Eden więziony był razem z Różą Luksemburg, Liebknechtem i Joghiessem. Prawie cudem uniknął losu towarzyszy; uciekł do pokoju generała Merckera, tłumacząc mu, że teraz jest on osobie i całym swoim honorem odpowiedzialny za swojego więźnia.

Pilny i wielostronny pracownik, był nie tylko pierwszym przewodniczącym partii dla Wielkiego Berlina. Był postem do Reichstagu i pruskiego Landtagu. I choć rzadko się go słyszało na plenum, tym więcej pracował w poszczególnych frakcjach i komisjach. Pieck był bowiem zawsze duszą partii.

Potem poszedł do Moskwy, jako przedstawiciel Niemiec do Kominternu. Pracował tu ściśle za Stalina, Dymitrowem i innymi wielkimi przywódcami ruchu komunistycznego.

Dziś Wilhelm Pieck z dumą może spoglądać w swój żywot, pełen walki i pracy. Dokładnie w 29 lat po założeniu niemieckiej partii komunistycznej zajmuje najwyższe stanowisko w rządzie. A przeszłość jego daje gwarancje, że i na tym stanowisku pracować będzie z pełną godnością.

W zachodnich Niemczech amerykańscy królówie dolarowi tytuł prezydenta niemieckiej nadali profesorowi. W cichej nadziei, że ulegli obywatela skłonią się przed tytułem, który był może krycie niemają uctwością. O, ci niemieccy profesorowie! O, ów profesor Heuss! Trzydziestu conajmniej jego kolegów podmurowywało skwapliwie swą pracę budowlą ideologiczną Hitlera. A i sam Heuss nie mało się napisał i nauykował w obronie tej ideologii. „Profesorów i dziełki zawsze dostanie się za pieniądze” — powiedział kiedyś pewien heksi następca tronu, niestety nie bez racji.

A tymczasem prezydentem demokratycznej republiki niemieckiej został robotnik Wilhelm Pieck. Prosty stolarz, który wiedział zdobył dzięki własnej pilności, ciekawości i wewnętrznej dyscyplinie. Robotnik, który przewyższa każdego profesora, znającego jedynie sporo schematów i nie poza tym. Związany z narodem, znający jego troski i niepowodzenia, jego tęsknoty i możliwości.

Kto decyduje się na drogę polityka, musi się liczyć z atakami. Toteż i dziś prasa kapitalistyczna obrzuca Piecka najgorszymi wyzwiskami. Ale jemu przypominają te obłądne ataki jedynie ukaszenia komarów. Obecnie bowiem uważać musi na rzeczy ważniejsze. Teraz bowiem spoczywa na nim nie tylko ciężar partii ale całego państwa. Kładzie fundamenty pod nowy polityczny twór państwowy. Po raz pierwszy w historii Niemiec powstało państwo, które w oparciu o socjalistyczne uszory dać ma ludzom szczęście i wolność, nauczyć ich przyjaźni i zgody międzynarodowej, pracy dla siebie i ludzkości.

KAROL OKOŃSKI.

# Szwiniestyczny finał w operze

Czelek stary zawsze obym jest dla młodzi. Wciąż gada o czasach dawno już minionych, o zmarłych i o sprawach pogrzebionych. Myślimy zatem: „Co nas obchodzi?”

KURT TUCHOLSKY.

BERLIN, wrzesień 1949.

Pomyśl, by pierwszą część planu gry na rok 1949 wypełnić niezwiązany z repertuarem dziełem muzycznym większego kalibru, przy pomocy reprezentatywnej zewnętrznie wystawy, nie wydaje się w ogóle na wybór dzieła uzasadniony tradycją i praktyką przedstawień Niemieckiej Opery Państwowej w Berlinie. Widocznie poczuwano się wobec zmarłego niedawno w wieku 80 lat, „ostatniego niemieckiego romantyka”, Hansa Pfitznera, do obowiązku urządzenia pewnego rodzaju koncertu wspomniowego. Ze Opera rozdziła z tego powodu swój aparat orkiestrowo-chórowy do rozmiarów niezgodnych z partyturą, było tu za wiele, nie tylko w muzycznym i akustycznym sensie, natęctwa, a i podkreślalo jeszcze skrupulatnie niedopasowane, demonstracyjne gesty teatru na rzecz nieprzydatnego przedmiotu, jak i podmiotu spod najgorszego stempla faszyzowskiego.

Ponieważ Pfitzner w swoich pismach muzycznych akcentował przede wszystkim swój własny kulturalno-polityczny wyraz, aby przez to utrwalić „wszechniemiecką mentalność” w pełnym znaczeniu słowa, najniestawniej dla historii muzyki, niech nam będzie wolno przy tej sposobności dać krótki zarys jego własnej definicji „wszechniemieckości”, w formie kilku przykładów charakterystycznych jednocześnie Pfitznera jako człowieka i muzyka. Tym samym zbytecznym się stała wszelki dalszy komentarz, do światopoglądowej kantaty „O niemieckiej duszy”, którą Państwowa Opera uznała za konieczne przedstawić na zamknięcie swego sezonu.

Urodzony w Moskwie z niemieckich rodziców, konsekwentny przedstawiciel muzycznej reakcji, posunął się w związku z powołaniem Ottona Klemperera na sta-

nowisko w operze w Strassburgu do następującego świadczenia, analizującego n. b. jego „niemiecką duszę”: „Teraz przychodzi kolej na tych, którzy przez międzynarodową mentalność i przez obcą sztukę rasę odcinają się od tego, co jest niemieckie. I choć „obcy sztuce” awangardziści współczesnej muzyki, jak Klemperer i Bruno Walter, energicznie popierali wykonywanie dzieł Pfitznera, nie wnoszący istotnie własnych bodźców w niemieckie życie muzyczne — nie mając wówczas wrażliwości co do politycznego oblicza kompozytora, jako gorliwego rzecznika legandy o pchnięciu sztyletem i radykalnego szwiniestwu niemieckiego o antysemitki zabarwieniu — „niemiecki romantyk” nie miał w 1933 r. nic pilniejszego do czynienia, jak interweniować osobiście u Hitlera — któremu już w 1923 roku w Monachium złożył swoje uszanowanie, a do landsberskiego więzienia fortecznego „w serdecznym przymierciu” posyłał listy i książki — w sprawie „konsekwentnego usuwania nieryzykownych” z niemieckiego życia muzycznego”. W roku 1944 ów kompozytor o „niemieckiej duszy” pójchał nawet do Krakowa, by inicjatorowi masowych mordów na Polakach i Żydach, Frankowi, jako „gubernatorowi zajętych obcych w wschodnich” wręczyć dydaktyczny z czcią „Hymn krakowski” i na miejscu zaraz odbić dyrygować, choć gdzie indziej z powodu sędziwego wieku nie brał już udziału w oficjalnym życiu muzycznym.

Wobec przypadającej w tych dniach 25 rocznicy spoczynającego w Berlinie antypoda „ostatniego romantyka”, Ferucia Busoniego — którego dzieła mogłyby posłużyć Państwowej Operze w Berlinie jako godniejsza sposobność do właściwego wydzwięku sezonu — przypominamy w związku z tym dla charakterystyki muzyki i człowieka Pfitznera jedno zdanie ze znanej polemiki

przeciwko Busoni'emu i Pawłowi Bekkerowi, gdzie Pfitzner posuwa się do następującego twierdzenia, wyrwanego ze swej „niemieckiej duszy”: „Atonalny chaos, obok odpowiadających mu form innych sztuk, jest artystyczną paralelą do rosyjskiego bolszewizmu, który zagraża państwu Europy. O tej grupie zasadniczo nikt nie chce nic wiedzieć, jest ona światu narzucona przez mniejszość drogą gwałtu...”

Przez mniejszość — rzeczniczk takich faszyzowskich sformułowań, który świadomie ignorował lub stale w wypowiedziach swych fałszywie interpretował, z reakcyjnych zresztą pobudek jasno już w swoim czasie określone w „bolszewickich” zasadach sztuki stanowisko wobec „atonalnego chaosu i formalizmu” — był za swego życia zakofwiczony w fanatycznie ciasnym niemieckim szwiniestwie. Nie tylko nie chciał nic wiedzieć o stosunku swoistego życia narodowego w sztuce do międzynarodowej harmonii, w duchu ówczesnych postępowych sił w Niemczech, lecz w związku z tym nienawidząc dyszący szkie Wagnera „Zydostwo w muzyce” określił jako „poważne, najmlsle i najodważniejsze pismo niemieckiego muzyka”. Pod koniec pierwszej wojny światowej — poświęcając wielkiemu admirałowi von Tirpitzowi pieśń Eichendorffa „Skarga” zapatrzył napisem: „Do Canossy nie pójdziemy!” Sądze, że jest zbyteczne dalsze cytowanie danych z biografii jego „kulturalno-politycznej walki przeciwko siłom rozkładu w polityce i sztuce” dla uzupełnienia portretu tego muzycznego szwiniestwu.

W owym czasie, gdy Busoni, dla przewyższenia wybijającego subiektywizmu w romantyce, domagał się „ratunku od niejasności i zawziętości, poskromienia popędów i uduchowienia uczucia”, w czym Pfitzner starał się widzieć między innymi „muzyczną impotence” analogicznie do swej „teorii upadku”, która jego samego najzęcającej na szych wystawiała — powstała „romantyczna kantata” „O niemieckiej duszy”, która cał-

kiem wyraźnie uwydatnia wadliwość jego „teorii upadku”. Właśnie takim kompozytorem jak Pfitzner, któremu komponowanie dawało sposobność do romantycznego przyjmowania i somnambulicznego spisywania z inspiracji, musiałoby „światowe uczucie niemieckie” „światowe uczucie niemieckie” — tak często przezeń cytowane, ujawnić niestowarzyszone zewnętrznej formy tej monstr-kantaty, przy jej całej poezji leśnej i rezygnacji z kontaktu ze światem. Niezależnie od tego ucieka się kompozytor w braku „natchnienia” albo „prapadku” do konstruktorynych środków, które, choć cofnięte do późno-romantycznej egzaltacji nastroju i dźwięków — zwłaszcza w makabrycznym zmasowaniu orkiestry — nieprzystosowane do śpiewnie wesołej, serdecznej, właściwej czasowi zadumy Eichendorffa, nie mogą się już podobać dzisiejszemu słuchaczowi przez swoje odwrócone od świata rozpoleenie w wieży z kości słoniowej.

Szkoda pełnych trudu i długotrwałych przygotowań, a zarazem chybnego pietyzmu dla niegodnego „duszy niemieckiej” kompozytora. Pożalowania godne jest stwierdzenie, że Państwowa Opera do błędu, wywołanego przez niedawną inscenizację „Śmierci Dantona”, dodała jeszcze taki szowinistyczny akord końcowy (w widocznej raiuo-politycznego kontapzwinięciu tego dzięki Bogu, ostatniego teutońskiego romantyka), który już z czysto muzycznych względów nie był wart wskrzeszenia opiewanej Walhalli.

Pytanie pod adresem intendantury: Kto ponosi odpowiedzialność? Kto nadużył tak oczywistego zaufania intendantury? Może zapamiętają tam sobie wreszcie do praktycznego zastosowania, następującej poskromienia popędów i uduchowienia uczucia”, w czym Pfitzner starał się widzieć między innymi „muzyczną impotence” analogicznie do swej „teorii upadku”, która jego samego najzęcającej na szych wystawiała — powstała „romantyczna kantata” „O niemieckiej duszy”, która cał-

J. Krüger-Riebow



Z terenu działalności pisarzy których niedawno skupiła mozołnie „Neue Zeitung” (choć jej redaktorzy musieliby sobie powiedzieć, że jest to przeciw „ich” rząd, za którego zezwoleniem działają ci wybrańcy), znów rozlega się głos „literacki”. Jeden z owych Johstów, Blunców, Grimmów, Vesperów i Anackerów przyrzekł nam milczenie w roku Goethego. Przynajmniej w Niemczech. Mogło mu to przynieść dość latu, ponieważ ma on możliwość gadania za granicą. Jest to pan Ernest Jünger. Tak np. „pozwoili” sobie ów „pisarz” wydać książkę „Podróż atlantycka” dla jeniec niemieckich w Anglii. Zyskała ona niewątpliwie przewidzianych odbiorców.

Byłoby nam miejscu podkreślić to wyswiechtane słowo „dozwolony” wykrzyknikiem oburzenia pod adresem pląguwaczącej działalności pisarskiej Ernsta Jüngera. Czytelnik sam zrozumie zaraz, dlaczego. W międzyczasie bowiem dojrzał do druku zapowiadany przez Szwajcarii jego dziennik paryski pod niewązającym tytułem „Promienowania” i w najbliższych dniach ma się ukazać w Tybindzie. Autor znowa nie dotrzymał swego słowa, a co jeszcze gorsze — nie zamknął stoich ust.

Głównym bohaterem nowej jego książki jest pan Kniebolo. Nie chciał autor nazwać go prawdziwym imieniem. Ponieważ Jünger jest tak „przywzwoity”. I taki „esteta”. A Kniebolo to właśnie Hitler, jakim widział go Jünger (widział go zatem czcześniejszy!!!) „Niezwykłe ostro charakterystyka”, zapowiada się z kół wydawcy.

Odrzućmy na bok wszystkie tyśiąckrotnie już przetrawione i wciąż na nowo politykane artykuły o tej najniecieńszej niemieckiej figurze literackiej, jak np.: Anonimowy subiektywista, niemoralny etyk, nihilistyczny poeta, myślowo ograniczony poeta,

MAX BERLINER

# Wędrowiec na pewniaku

żołdak, Prusak, Niemiec, aktywista, realistyczny romantyk, instynkt i definitywny nihilista, pruski anarchista, tragiczno-nazistowski rewolucjonista, przeciwnik demokratycznego optymizmu. Weźmy tu tylko, co jest pod ręką. Do porównania zupełnie wystarczy. Tak dalece wystarczy, że można by panu Ernestowi Jüngerowi za-rezerwować miejsce tam, gdzie już nie ma ani papieru, ani pióra, ani atramentu. Ani także żadnego wydawcy.

Nova książka nawiązuje, jak słyszymy, do ogłoszonego przez Jüngera przed laty dziennika z Francji „Ogrody i ulice”. Bardzo wymowne nawiązanie. Ponieważ nie wiemy, ilu ludzi książkę tę czytało, będziemy z niej ciekawie i gratulować tymczasem czytelnikowi najnowszej atrakcji jüngerowskiej.

Lecz przed tym jeszcze coś. Gdy trzeba było pisać o panu Hitlerze, jak to inni czynili (Feuchtwanger „Sukces”, Konrad Heiden „Kariery ideał”), w najbardziej nazistowskich kołach Niemiec odchylało się bez przerwy dzielami Jüngera: „Wśród stalowych burz”, „Lasek”, „Ogień i krew”, „Walka jako przeżycie wewnętrzne” i podobnymi.

Ślachta z pochodzenia, studenci-naziści, kierownicy związków kombatanckich, docenci uniwersytetów, historycy literatury itd. znali je dobrze. Do roku 1945. Wulf Dieter Müller cytuje w 1934 w pewnym wydaniu Jüngera: „Tak jak pan leutnant napisał, wszystko na prawdę było”. Dziś twierdzi się, że Jünger ma nam jeszcze dużo do powiedzenia. Jego

czas jeszcze przyjdzie! — Slicznie dziękuję!

Gdy pan „leutnant” znów po-ciągnął w burzę stalową, był już kapitanem. I barzo z tego powodu dumny. Niejednokrotnie o to tu chodzi. Jünger, o którym dla usprawiedliwienia mówi się, że początkowo zapalił się do idei nazistów, lecz mimo to nie dał się zaprząć do nazistowskiego wo-zu — więcej uczynił dla Hitlera i „Prus” jako grafomański indy-vidualista, niż cała armia (dziś zdehabilitowanych) propagandy-stów prasowych.



Ernst Jünger, który choć faszyzm przypodobał się Anglosasom Prawda jest prosta i jedyna: miał on wiele twarzy. Jego „Promienowania” są najnowszą „Jego

twarzą. To pachnie komiunkturą. „Od Mozy aż do Niema, od Ady-gi aż po Belt”. My jednak nie mamy ochoty przyglądać się, jak ów urodzony militarysta znów się podkłada do młodzieży i pragnie utrzymać się przy życiu do następnego awanturnictwo pre-STEMPOWUJE NA „demokratyczny”.

A zatem — Jünger w swoim dzienniku wojennym 1939/40 „Ogrody i ulice”. Weźmy tu na-przód jaskrawą, niczym niepocho-mowaną próżność, z jaką stwierdza:

Wydaje mi się czasem, że alfa-bet więcej mi nie wystarcza. Po-trzeba mi pisma, które by rów-ne było egipskiemu lub chińskiemu z ich setką tysięcy znaków, i takie bym sobie przyswoił...

I popatrz, taką rzecz przyjmuję prawie cały niemiecki świat literacki i znana część między-narodowego. Bo oto „dwójka” przy-kładu pisma Jüngera, w których posługują się on absolutnie „no-owym” językiem. Dn. 7 lipca 1939 pisał on o książce „La Femme Pauvre” Leona Bloy:

Bloy jest bliźniaczym kryształem z diamentu i jaisa. Jego najczest-szym słowem jest: ordure. Bohater jego Marchenolr twierdzi, że w raju występował będzie w ko-ronie, uplecionej z ludzkiego łaj-nu. Pani Chapuis nadaje się jesz-cze tylko jako sieraśka do base-nów trupich w szpitalu dla treto-wych. W ogrodzie narzynim, który Bloy opisuje, panuje taki smród, że szablonołego derwisza, który był oprawcą padłych na zia-nia przesiadłowa. Pani Poulot nosi pod swoją czarną koszulą biust, który przypomina ułożoną w brudzie sztukę cieleciny, po-ruzoną przez szereg psów, które ją odhodzące, posilają.

Albo 17 maja 1939, przy oglą-daniu obrazu:

Na tylnym planie kaszemiński świat, przedstawiony jako buda oszukańczo-kuglarska, przed którą pląk odtańca szczyty, podczas gdy kurwa wywiesza z okna piersi.

Jego żołnierskie pojęcie o ob-chodzeniu się — powiedzmy raz — z ludźmi wygląda dosłownie tak (10 marca 1940):

Przed wszystkim należy unikać każdego rodzaju przekletych twierdzeń, przy których fory ze-wnetrzne padają zaraz przy pier-wszym natarciu, lecz cytadela zo-staje niezwykła.

I jeszcze (13 czerwca 1940):

... te z Marsylii nie byłyby tak zimne, a przy tym tańsze.

Nie chcemy żadną miarą twier-dzić, że kiedy opowiada o „schrup-panych Henriettach” (20 kwietnia 1940), o „szesnastoletnich grzejni-kach łózek” (4 lipca 1940), albo o „zwyyczajnym” „sieganiu pod spód-niczką” (11 lipca 1940), to jest to indywidualną specjalnością Jün-gera. O nie, oznacza to tylko znany do przesytu ton rozmów pruski-ckich oficerów w „kraju nieprzy-jacielskim”, gdzie żołnierze są ostatnim głównem, ale własną gwóźnią jest najwyższym dobrem życia. Jakże inaczej rozumieć jego myśli, zanotowane w dzien-niku 11 listopada 1939 r. przy za-ladowywaniu kompanii na dwor-cu kolejowym w Bergen:

Blade role jednolitych much, których ciałami mechanizm świata smaruje swoje osi. Przylegają one do zimnego żelaza.

Tę sam „poetę” pisze siedem lat później, 1947, dla niemieckich jeńców uwięzionych w Anglii.

Jünger i masa, ulubiona gra in-dividualizmów:

— Popatrz, co to za gryzby!

— Prawdziwi — mówię, jakby nigdy nie.

— I to jest człowiek, który pi-sze, który chce ukazywać ludziom to, co niedostrzegalne. Przecież ty jesteś ślepy — wydzwija oj-cie. — Prawdziwi, prawdziwi. Ale jakie prawdziwi! Polskie, takie jak w lasach ibleckich. I rosną nawet tak samo: skryte w mchu albo pod ścielami się liśmi dębów i grabów. Przypatrz im się tylko. I ojciec wyjmuje jeden za drugim z koszyka i opo-wiada roznuwając jakieś nie-przezwane przez nikogo poema-ty.

— W tych gryzbach jest Pol-ska. Tak, tak, nie śmieję się. Schył pokornie głowę, ty tego nie rozumiesz. Ja znam, bracie, (za-awansowałem na lewo) Niemcy i ich lasy. Tam rosną prawdziwi, owsem, ale nie ma-ją. Te są nasze. Zobacz, jaki ma-ją kolor. Słowiański kolor, jak Bożię kocham, słowiański. No, czy nie?

Patrzę, słucham i śmieję się. Nie rozumiem tej ojcowskiej mi-styki gryzbów, ale widzę w tym, jak on i jemu podobni przywia-zali się do tej ziemi. Jak im tu dobrze, jak oni ten kraj sudecki kochają. I to, myśle, dopiero sta-je się ważne. To zrośnięcie się z terenem, z jego krajobrazem, przyroda. To odnalezienie siebie w tej ziemi, swoich tęsknot, jak-by odwiecznych, prawdziwych, głębokich jak samo życie.

A wieczorem, gdy ojciec weź-mie w ramiona mojego syna a swego wnuka i wyjdzie z nim na balkon, aby popatrzeć na plynący nad Szklarską Porębą księżyc, synek podnosi paluszek i powiada:

— Pać, pać, dziadzia, to pla-cuszek.

— Nie, dziecko, to nie pla-cuszek, to księżyc. A może i masz rację? Tak, tak, to placuszek, pszenicy i smaczny jak nasz chleb. A jaki jasny. W Karkonoszach zawsze księżyc taki jasny i zdaje ci się, że nawet zdziwicy, jak srebro.

Jan Koprowski.

JAN KOPROWSKI

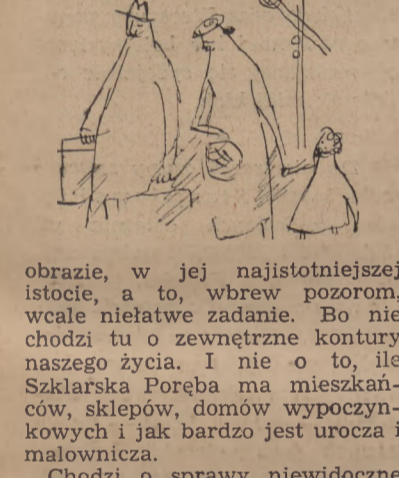
## My szklarskoporebionie

1

Czy to nie dziwne: przyjeżdża ktoś do Szklarskiej Poręby na dwa tygodnie, przeszłując się po brzegach tutejszego życia jak po stokach Karkonoszy i po powrocie do swojego miasta pisze wielki artykuł obrazujący nasze szklarskoporebione dzieje.

A człowiek siedzi tu od lat (jak ten czas leci!), wrażliwy na ziemię coraz głębiej, zapuszcza korzenie, sonduje podglebie i nic. Ani słów-ka o tym w żadnej gazecie.

Tyle razy robiliśmy już sobie z tego powodu wyrzuty. I tyle razy zabieraliśmy się do pisania. Ale nie szło. A raczej szło, ale z trudem. Łatwo pisać o tym, czego się nie zna. Wtedy wszystko jest jasne. O wiele trudniej pisać o rzeczy dobrze sobie znanej: chcia-łyby się bowiem ukazać ją w naj-bardziej przybliżonym do prawdy



obrazie, w jej najistotniejszej istocie, a to, wbrew pozorom, wcale niełatwe zadanie. Bo nie chodzi tu o zewnętrzne kontury naszego życia. I nie o to, ile Szklarska Poręba ma mieszkań-ców, sklepów, domów wypożycz-kowych i jak bardzo jest uroczą i malowniczą.

Chodzi o sprawy niewidoczne dla przybysza: o życie tutejszego człowieka, o świat jego myślenia i działania, o kształt jego losu.

2

Uczymy jednak, przynajmniej na początek, zadość wyma-ganom reportażu. Szklarska Poręba, położona w kotlinie obje-tych pasmem Karkonoszy, liczy obecnie 8 tysięcy mieszkańców. Dzieli się ona na Dolną, Środną i Górną Porębę, z których — według powszechnie panującej opinii — Środną ma położenie naj-piękniejsze, gdyż daje rozległą perspektywę na pasma gór, czego ani o Górnej, ani o Dolnej powie-dzieć nie można. Dolna leży zbyt blisko i widok na góry przesłania-ją całkowicie lasy. Górna zaś „po-destsza” tak blisko szczytów i wznieślię, że widzenie nie ma już tutaj tej rozległości i swobody.

Przybysze zachwycają się dwoma wodospadami: Kamieńczy-kiem, liczącym 32 m wysokości, i Szklarką, który choć mniejszy od Kamieńczyka, jest o wiele od niego piękniejszy.

Powszechny zachwyt budzą również uyspiska skalne, wiszące tuż nad drogami. Są one jak wielkie kilkupiętrowe kamienie: radują oko, ale i napawają potro-że strachem.

Klimat tutaj łagodny, choć bar-dzo zmienny. Najpiękniejszy jest okres przedjesieni (druga połowa sierpnia i wrzesień), a więc pora, w której to wszystko właśnie opi-sujemy. Pogoda się wtedy stabiliz-uje, nie ma już letnich niespo-dzianek w postaci gwałtownych burz, opadów, wiatrów czy nad-miernych, nieznośnych upałów.

Lato w Szklarskiej Porębie przypomina młodzieńca, który jako często sam jeszcze nie wie, czego chce, okres przed — i je-sienią człowieka dojrzałego, zna-jącego dobrze cel swoich kroków.

3

Jest tu jedna tylko fabryka, za-trudniająca ogółem 2500 ludzi.

To huta szkła „Józefina”. Leży zresztą na uboczu od miasta i żyje własnym, samodzielnym ży-ciem. Fabryka posiada świetlicę i bibliotekę liczącą około 2000

tomów. Od czasu do czasu zjawia się tu jakiś literat z odczytem.

Duszą fabryki jest młodzież. Ona napelnia warsztaty życiem i gwarem. Skąd ci ludzie? Zewsząd. Z całego kraju. Oto jeden z maej wsi kiekieckiej. Przyjechał tutaj na nieznaną. Nie miał ni krewnych, ni przyjaciół, ani nawet znajomych. Ojciec dał mu na bilet i dobre słowo na drogę. Nie wiecie: Dziś jest już fachowcem: pracuje, zarabia i uczy się. Nowa ojczyzna dała nowe horyzonty jego życia. Gdy przyjechał, umiał się ledwie podpisać. Dziś kończy średnią szkołę zawodową, wygłasza referaty na zebraniach koła ZMP — czuje się człowiekiem użytecznym i potrzebnym.

5

W domu stojącym na brzegu „Doliny Szczęścia”, w którym ongi mieszkali bracia Gerhart i Carl Hauptmannowie, mieści się Instytut Naukowo-Badawczy.

Człowiek, który w założeniu i zorganizowanie tego instytutu włożył cały swój entuzjazm i wysiłek, tedy zdania, że Gerhart Hauptmann miał wprawdzie więk-szy rozgłos, to za brat jego Carl — większy talent.

W księgozbiornie Carla Haupt-manna znalazłono książki o Pol-sce i słowniki i samouczki pol-skie. Widać, że ten nie mógł być zamknięty oczu na tkwiącą w tych ziemiach polskość. Uczciwi Niem-cy nie mogli, nie potrafili tego nie widzieć. Za polskość niepo-koila ich, wszczała się w umysł, jak powracający stale motywy mu-zyczny. Carl Hauptmann kochał się nawet w Polsce nazwiskiem Krzyżanowska, której portret wi-siał w jego mieszkaniu. Tak da-lece, że chciał ponoć rozwieść się ze swoją żoną, by łąk Polkę poślubić. Ale pani Krzyżanowska nie zgodziła się na to. Nie chciała po-prostu rozbić rodziny.

6

Nadleszczny Czołowski jest wysokiego wzrostu i pocho-dzi z okolic Grodna. Opowia-dając wraca ustawicznie słowo „panie”, wskutek czego opowie-sci on nabierają jakby sarmacko-sci.

Gdyśmy tu, panie, obejmo-wali lasy karkonoskie we włada-nie, to panie, trzeba zaczynać wszystko od nowa. Nie było, pa-nie, planów, rysunków, zesta-wień; nie było, panie, nic. Niem-cy, panie, wszystko niszczyli. Musieliśmy, panie, wziąć miarę, sznurkę i brulion do kieszeni i iść, panie, w lasy. Mierzylismy, panie, wszystko sami. Odnajdo-waliśmy każde drzewko, wycina-ć, każda, panie, sadzonkę. Dziś, panie, lasy te opanowaliśmy cał-kowicie. Gospodarka lasna, panie, to Niemców. Nasza, panie, gos-podarka jest inna i na innych, pa-nie, oparta założeniach. Zmieniamy i urocznicamy drzewostan, czego, panie, oni wcale nie ro-bili.

Chrostoni również, panie, nasz wzrówny. Zwalaszca muflo-ni, panie, zwierzątka przy-po-minające owce, o długim, panie, aż do ziemi uwłosieniu. A ziota, panie, otulaj! Tutaj przecież kró-lestwo ziół i w najrozmaitszych, panie, odmianach. Nigdzie w kra-ju, panie, nie udaje się tyle gat-uników ziół leczniczych, co tutaj. Ministerstwo nasze kładzie na to, panie, ogromny nacisk. Hodejuje, panie, całe obszary łąk zioło-wych. Z tego, panie, leki dla całej Polski. Tak.

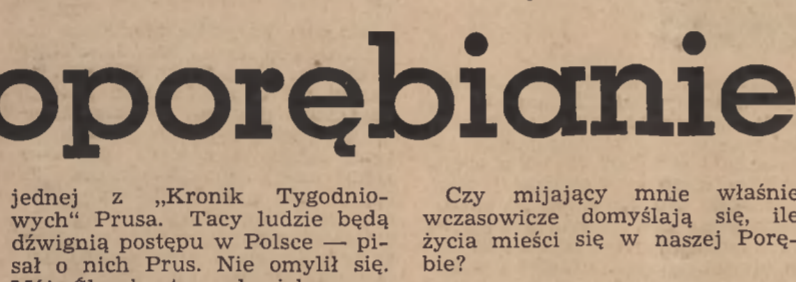
Nadleszczny Czołowski to czło-wiek po prostu wspaniały. Wielki entuzjasta pracy, zakochany w swoich karkonoskich lasach.

W okresie rykowski Jeleni po-wadził mnie nieraz na uroczyska leśne, gdzie obserwowałem godzi-ny pojedynki rogaczów. Często pojedynki nie zostały rozstrzygnięte, wówczas zjawiał się świeży jelen-towarzyszy i kontynuował walkę z wrogiem aż do rezultatu. Rogi zdzwoniły o siebie jak krzemienie. Łoskot rozlegał się po le-sie. Aż wreszcie padł jeden z nich a wtedy stojący na placu boju zwycięzca obwiszał swój triumf potężnym rykiem i odchodził ma-jestajecznie i okazałe. A w piękn-e niedziele jesienne wychodzimy o świecie słuchać tokujących gusz-ców. Podchodzimy bliżutko, aż pod pień drzewa, na gałęzi które-go siedzi i śpięwa dół zapamięta-nia ten wspaniały kogut leśny. Niekiedy tak się zaśpięwa, że spada z gałęzi na ziemię. Wtedy zatrząpcie skrzydłami, zabuszują wśród drzew i usadowiwszy się napowrót na iściejsz gałęzi, roz-noszą swoje tekne pienia, nie ba-żąc na świat cały.

Są to zjawiska, które próżno si-łę się tutaj opisać. To trzeba wi-dzieć i słyszeć, żeby pojąć i odc-zuć całą grozę i piękno życia la-sów w Karkonoszach.

Przyjacielu, przesiadujący nie-dziele w kawiarni i wybijający na parkiecie dancingu poszarpany rytym boogie-woogie! Przyjedź tu do nas kiedy a zrozumiesz, ile znaczą te uroki. Jak są one wiel-kie i potężne. I jak my mało o nich wiemy.

Rys. Lucyna Wrانik



7

Mój ojciec chodzi prawie co-dziennie na gryzby. Wraca zwykle z koszem prawdziwo-ków w ręku. I gdy mnie spotka wychodzącego z domu, zatrzymu-je się na progu, kładzie mi dłoń na ramieniu i powiada:

— Popatrz, co to za gryzby!

— Prawdziwi — mówię, jakby nigdy nie.

— I to jest człowiek, który pi-sze, który chce ukazywać ludziom to, co niedostrzegalne. Przecież ty jesteś ślepy — wydzwija oj-cie. — Prawdziwi, prawdziwi. Ale jakie prawdziwi! Polskie, takie jak w lasach ibleckich. I rosną nawet tak samo: skryte w mchu albo pod ścielami się liśmi dębów i grabów. Przypatrz im się tylko. I ojciec wyjmuje jeden za drugim z koszyka i opo-wiada roznuwając jakieś nie-przezwane przez nikogo poema-ty.

— W tych gryzbach jest Pol-ska. Tak, tak, nie śmieję się. Schył pokornie głowę, ty tego nie rozumiesz. Ja znam, bracie, (za-awansowałem na lewo) Niemcy i ich lasy. Tam rosną prawdziwi, owsem, ale nie ma-ją. Te są nasze. Zobacz, jaki ma-ją kolor. Słowiański kolor, jak Bożię kocham, słowiański. No, czy nie?

Patrzę, słucham i śmieję się. Nie rozumiem tej ojcowskiej mi-styki gryzbów, ale widzę w tym, jak on i jemu podobni przywia-zali się do tej ziemi. Jak im tu dobrze, jak oni ten kraj sudecki kochają. I to, myśle, dopiero sta-je się ważne. To zrośnięcie się z terenem, z jego krajobrazem, przyroda. To odnalezienie siebie w tej ziemi, swoich tęsknot, jak-by odwiecznych, prawdziwych, głębokich jak samo życie.

A wieczorem, gdy ojciec weź-mie w ramiona mojego syna a swego wnuka i wyjdzie z nim na balkon, aby popatrzeć na plynący nad Szklarską Porębą księżyc, synek podnosi paluszek i powiada:

— Pać, pać, dziadzia, to pla-cuszek.

— Nie, dziecko, to nie pla-cuszek, to księżyc. A może i masz rację? Tak, tak, to placuszek, pszenicy i smaczny jak nasz chleb. A jaki jasny. W Karkonoszach zawsze księżyc taki jasny i zdaje ci się, że nawet zdziwicy, jak srebro.

Jan Koprowski.

Z F. G. w ogrodzie zoologicz-nym, gdzie była tańa niedziela. Widok mas bardzo przynajmiej, nie można jednak zapominać, że się je widzi z łunym okiem sta-tystyki (23 lipca 1939).

Ze jednak Jünger w każdym razie przyzwyczaił się patrzeć także z łunym okiem sprzedawcy książek, to rzecz pewna.

A teraz to rzeczy najwazniej-szej, jaką nam Jünger ofiarował może, do dziedzicznego prawa każdego Prusaka: wojny robić, zdobyć zgarbić, a w „kraju nieprzyjacielskim” bezplatnie uprawiać miłostki i upijać się.

„Prawem wojownika!” „Z aro-gnącją abiturienta!”

Z naszym cynizmem takiego, co nazwaliśmy także i także (nie-stety!) pisze w „Ogrody i ulice”.

11. 11. 39 — Przegląd niebieska-gotowane, burgund. „Odziedziczo-ne bogactwo zobowiązuje mnie do szczególnie starannych program-ów. (Tak to przynajmniej sobie pi-sarza Poe.)

15. 11. 39 jako gość u oficera li-niowego — Zupa, pieczeń, jarzyna, budyń, piwo, wino; „Tak obiado-waliśmy wczoraj”.

13. 2. 40 — W pierwszych ty-go-dniach starałem się o to, że godzinie pić w domu wzbudzi, lecz w do-brem doświadczeniu, że o takiego życia na gólej ziemi bardziej sto-sowne jest czerwone wino. Natu-ralnie, należało także do chwilla, jak wszystkie 24 godziny dnia, do służby...

8. 4. 40 (podczas przechadzki) — Strasznie się należał zabawić tak, że liczne maczyna, które ustawione są w stertach, strącam kulą z pistoletu.

8. 4. 40 (w związku ze strzela-nim do zabitych) — Po tej przy-grzywe (!) poszedłem na śniada-nie i byłem dumny, jak Kabaleł niedzieli w Izraelu, młody doktor E. na szczepaku i winie mozel-skim.

29. 5. 40 — Waza pozłomek przy pełni księżyca.

22. 5. 40 — Wolownik ma prawo być gościem w każdym domu i w każdej chwili zalać go kieliszkami, jakie mu jego mundur zapewnia

24. 5. 40 — Przy odmarzu kaza-łem przypożyczyć z kuchni strzel-ca R., po czym ze wzruszeniem na to, że mi zupa z soczewicy wyborne smakowała, powiedziałem, że ge-frajtem. Ponieważ argument ten był dla każdego po świetnym do-swiadczeniu przekonywający, wy-wolano to wielki oklask.

25. 5. 40 (Neuchateau) — Dla przykładu kazalem rachmistrzowi przed frontem oszczać słome, która była warta do namoty z pobliskiej stodoły, i cenę jej wy-plać natychmiast właścicielowi w gotówce.

26. 5. 40 — Cała droga marszu została jest butelkami z wina mu-sajanego, Bordeaux i burgunda. Należym przynajmniej jedną na krok, niezależnie od miejsc obo-zowania, które wyglądały, jakby spadł deszcz butelek. To należało wydzierać w kampanie francuskiej do tradycji. Każdemu wroczonemu wojsk germańskich towarzyszył trunki, który stworzył bogowie Eddy, choć potrzebnie żaden zapas nie sprostał.

27. 5. 40 (do generała): Czy wol-no się spożywać szklankę wina, je-licznie w ognie?

5. 6. 40 — Można teraz maszero-wać naprzód, jak to w 1918 r. było w czasie marszu na Opatowie.

7. 6. 40 (Laon) — Te linijki pi-sze po oblanu się w łaźnie wodą, siedząc na tarasie i kosztując likierów w kieliszku. Do takich interesów musi się wybierać spry-tne głowy, jakimi się tak wkrótce okazują.

11. 6. 40 — Znalazłem tu ubika-cje mieszkalne, w których na mo-cy prawa żołnierskiego skomfisko-wałem gabiekę gumową, której po-życzałem sobie.

12. 6. 40 (Laon) — Popieram tu napoleońskie: „Niech dają się za-bić”.

19. 6. 40 (Montmar) — Wśród rozspanych paczek znalazłem koszułki, których wcale nie potrze-buje.

20. 6. 40 — Rozważałem przy tym, że do losu tej miejscowości zdaje się należeć, by przelatywały przez nią wojska i by znów miała pruski-ckich oficerów na kwatery, jak w 1914, 1917, 1918. Ponieważ pierwsze 21. 6. 40 — Teraz już trudno się „spodziewać”, by ta cała wypra-wa przyniosła nam jeszcze jakąś ostrą sławkę.

Można by też powadzić słownych przykładów najbardziej bez-względnych wyszydzeń uszełkiego człowieczeństwa (Jünger ma być w ten sposób, jak jego „Jünge-ry” każdemu z gór narzucają, ostatnim esteta Europy) przedtuć w nieskończoność. I to z je-dnej jedyniej książki.

Ciąg dalszy tego „działa” ma wyjść teraz w Tybindzie. Siedziba wydawnictwa znajduje się pod kontrolą tego mocarstwa okupa-cyjnego, w którego ojczyźnie Ernest Jünger był tak miłym go-ściem. W 1939, 1940 i później. Czyż zresztą mogli go wówczas we Francji nie lubić? Nie czyta-ć? Albo może owo „słowo poeta”, które napisał 30 marca 1940 r., jest podstawą do jego „europejskiej” działalności i alianckiej dziś sławy?

„Wojna nie jest piękna, my je-dnak lubimy ludzi, którzy ją ro-bią, podczas gdy pacyfści są wstrętni!”

(„Die Weltbühne”, nr 35) Spolszczył: K. G.

## Z całego świata



Centralny Teatr Dziełecy w Mosk-wie rozpoczął trzyletni sezon swej pracy. W sezonie tym wysta-wione będą trzy sztuki: dramatycz-na przeróbka znanej powieści Puszkina „Dubrowski”, nowa sztuka moskiewskiego pisarza W. Rosowa „Jed przysięcie” z życia młodzieży szkolnej i sztuk 1. Wasilienko „Zie-lona walka” z życia dzieci na Kaukazie w okresie ostatniej wojny. Dla szkół moskiewskich teatr przy-gotowuje specjalny program, prze-swiecony życiu i twórczości Puszkina.

Studium Filmowe w Leningradzie przygotowuje kilka nowych filmów, wśród których na czoło wyszła się wielki film o Majakowskim. Scenariusz tego filmu opracował towa-rzysz Majakowskiego Katanan, rolę tytułową wcielił w niego aktor nagro-dy Stalinońskiej Mikołaj Czerkaszow.

Teatr Mały w Moskwie obchodzi 125 lat swego istnienia. Najlekkaw-szymi i szorstkimi. W Wasilienko „Zie-lona walka”, w której w dziedzinie sztuki, pozostając w związkach przyjacieli z Czechowem, Ostrowskim, Terzolem, Wasielienko, Sza-dowskim, Niemierowiczem-Danczen-ką, W. N. Ryzowa gra na scenie Teatru Małego od 55 lat i ma w swoim dorobku wiele przełomów, przy-czym na szczególnie wyróżnienie za-sługują jej liczne role w sztukach Ostrowskiego.

Obudowa Muzeum Gogola w So-roczynie, w której zostały prace przy odbudowie zniszczonego i obra-bowanego przez Niemców muzeum poświęconego pamięci tego sławnego pisarza, została ukończona. W muzeum ma stanąć w 32 rocznicę rewolu-cji październikowej.

Czesosłowacki Teatr Marionetek „Sprehl i Hurvinek” pod kierun-kiem Jozefa Stizawy wjechał do Warszawy. W tym teatrze w dziedzinie przynajmniej na dłuższy pobyt do Związku Ra-dzieckiego, gdzie wystąpił ze specjalnym programem złożonym z 15 części, w którym szczególnie wzięto-dnioty jest folklor czeski.

W Domu Kultury w Bratysławie odbyła się wystawa poświęcona pa-mięci zmarłego w maju br. wybit-nego słowackiego artysty i socja-listycznego Piotra Jilemnickiego. Wy-stawa zgromadziła bogaty materiał dotyczący życia i twórczości Jilem-nickiego, który należy do najwybit-niejszych prozaików słowackich w ostatnim dwudziestolecu.

Ogólnokrajowy festiwal teatralny w Czechosłowacji odbędzie się w dwóch odciskach. W pierwszym dnia br Organizacyjnie różni się od pierwszego festiwalu zorganizowa-nego w roku ubiegłym, gdyż składać się będzie z dwóch części. W pierwszym etapie jury objeździe wszystkie biorące udział w festiwalu zespoły dramatyczne, operowe, ope-retowe i baletowe. W drugim etapie i dokona wyboru trzech zespołów z każdego gatunku, które następnie wystąpią w drugim etapie festiwalu. W Pradze festiwal przewiduje wiele nagród i wyróżnień zespołowych i indywidualnych.

W Paryżu zmarł Fryderyk Le-fevre, znany esayista i powieściopis-arz, redaktor naczelny tygodnika literackiego „Les Nouvelles Litté-raires”.

Postępowy miesięcznik francuski „Europe” przygotował numer spec-jalny poświęcony Edyzynie M. In. Materiał z tego numeru dostarczy ankieta, z którą redakcja miesięcz-nika zwrotła się do postępowych pisarzy i artystów.

Encyklopedia Hebraica — pierw-szym tom wydawnictwa pod tym ty-tulem ukazał się w Tel Avivie po okresie pięciu lat pracy przygoto-wawczych. W tym tomie, w której po-liczona jest na 15 tomów, które uka-żą się w ciągu najbliższych pięciu lat.

Kongres naukowy poświęcony ży-ciu twórczości Boccaccia odbędzie się we Włoszech pod koniec paź-dziernika. Kongres będzie miał cha-akter międzynarodowy.

Wystawa współczesnego malarstwa włoskiego i rzeźby zorganizowana została w Rzymie w galerii Aver z okazji Międzięcy Pracy Komuni-stycznej. Wzięto w niej udział ponad stu młodych plastyków włoskich. Na otwarciu wystawy wy-stawiono film dokumentarny pt. „Malarstwo włoskie po wojnie”.

Wielka wystawa sztuki fińskiej, zamknięta w Helsinkach w połowie września, wysłana została w objazd po Europie. Gościć ona będzie w Czechosłowacji, Belgii, Holandii, Szwajcarii oraz we Francji i Wło-szech. Objęmuje 117 obrazów i 43 rzeźby dawnych i najnowszych ar-tystów.

Nowy film niemiecki produkcji DEFA pt. „Rotacja” ukazał się na ekranach berlińskich. Jego reżysem jest Wolfgang Stude, reżyser filmu, o którym dużo pisano. „Mor-derecy są między nami” (tematyka tego filmu wiąże się z hitlerowską okupacją w Polsce). Bohaterem ro-tacji jest drukarz obsługujący ma-szynę rotacyjną. Krytyka zalicza film Staudera do najlepszych powojennych obrazów niemieckich.

Najmłodszym autorem świata jest trzyastoletni Niemiec, gimnazjali-ska Egon M. von Asow, autor książ-ki „Goethe für Quateraner”. Autor ten pracuje teraz na antologii „Kinderbrunnen” berlińskiego „Manner und Frauen von Philipp II. bis Richard Strauss”.

Drugiego więc programu w praktyce nie ma.

Możliwe, że są jakieś trudności techniczne, które nie pozwałały na to, aby ten program mógł być słuchany przez odległą prowincję, ale jeśli nie da się tego zrobić na skutek słabej mocy Warszawy II, to przecież można by puścić na sieć prowincjonalną, tak by radio-słuchacze mogli mieć do wy-boru, albo Raszyn o wielkim i wszędzie słyszalnym zasięgu z programem nr 1, albo Warszawy II włączoną na stacje prowincjonal-ne z programem nr 2.

Moskwa posiada trzy programy, Praga posiada też trzy programy, inne radiostacje centralne rów-nież. Dajmy więc i my do tego, aby posiadać chociaż dwa.

Bo w rezultacie, mamy tylko jeden, a ten jeden przy najklej-szych nawet chęciach ze strony jego twórców i organizatorów, nie może być najlepszym.

Tyle pod uwagę ójców naszej radiofonii — oczywiście z należą-cym im respektem.



